



Maria Maj

- aktorka teatralna i filmowa,
od 1995 r. członkini
zespołu TR Warszawa
(dawniej Rozmaitości).
Współpracowała m.in.
z Henrykiem Tomaszewskim,
Krystianem Lupą
i Grzegorzem Jarzyną

WBIJAĆ ZĄBKI W MŁODE CIAŁKA

Człowiek całe życie tuła się po teatrach, mieszka w domach aktora, żyje sztuką i nagle się orientuje, że nie ma mieszkania, nie ma oszczędności, rodzina rozsypana

Z aktorką Marią Maj rozmawia Mike Urbaniak, Radio RDC

Dlaczego nie udzielasz wywiadów?

Bo o nie nikt nie prosi. Nie jestem celebrytką, nie gram głównych ról w serialach. Nawet kiedy dostałam nagrodę za najlepszą drugoplanową rolę w „Moich pieczonych kurczakach” na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni, zrobiono ze mną jeden wywiad, który zresztą się nie ukazał.

Trudno opowiadać o sobie?

Bardzo. Poza tym boję się negatywnych opinii, złośliwych komentarzy. Lubię moją słabą rozpoznawalność.

Nie zostałeś, jak by powiedzieli paparazzi, „ryjem”.

Dzięki Bogu! To pewnie wynika z tego, że długo grałam w teatrach prowincjonalnych. Do Warszawy przyjechałam na początku lat 90. i nigdy nie interesowało mnie gwiazdorstwo, kochałam pracę w zespole.

Urodziłaś się w Międzyzlesiu koło Wałbrzycha.

Do Międzyzlesia ściągnął mamę mój ojciec. Poznali się po wojnie w Wiesbaden. Podczas wojny tato jako oficer Wojska Polskiego trafił do oflagu w Murnau, a mamę zgarnięto w łapance i pracowała w fabryce szycjącej mundury dla armii.

Wielka miłość?

Tak, ale nie między mamą i tatą, ale między mamą i najlepszym przyjacielem taty – Wackiem. Wacek był Polakiem, obywatelem USA, który wyzwalał Europę jako amerykański żołnierz. Po wojnie mieli jechać do Ameryki. Plany pokrzyżowała babcia. Słała z Łodzi do Niemiec listy, w których prosiła, by córka wracała, bo to już ostatnie transporty do kraju. I mama, zamiast za ocean, wróciła do rodzinnej Łodzi.

Sama?

Tak, ale z ojcem nadal korespondowała. Pisała mu o trudnej sytuacji bytowej i ogólnej beznadziei i wtedy on zaproponował, żeby przyjechała do niego do Międzyzlesia. „Przyjeżdżaj. Tu jest pięknie. Są wille do wzięcia” – tak sobie wyobrażam list ojca do mamy. Pojechała. I to jest początek mojej tragedii.

Dlaczego?

Bo mama ojca nie kochała. Ale spakowała walizki, wzięła babcię i pojechała. Tam w 1948 roku urodziłam się ja. Po dwóch latach mama wróciła do Łodzi. To był koniec związku. Wychowanie dziecka wzięła na siebie. Nigdy o ojcu nie mówiła.

Nie pytałaś?

Nie, bo bardzo ją kochałam i respektowałam to, że nie chce o nim mówić. Miałam ją, babcię i wujka Ksawerego. Oni mi wystarczali. Dowiedziałam się o ojcu, mając 14 lat. Przypadkiem. Wybierałam się z koleżanką do jej babci do Wrocławia i powiedziałam o tym wujkowi Ksaweremu, bratu mamy. A on: „O, to może spotkasz ojca”. Wiedziałam tylko, że mama miała przed wojną męża i że on nosił nazwisko Maj. Myślę sobie: „Świetnie, w końcu go poznam”.

Pojechałaś do tego Wrocławia?

Pojechałam i poszłam od razu odwiedzić mojego ojca chrzestnego, którego znałam tylko z prezentów, które mi od czasu do czasu wysyłał do Łodzi. I on mówi: „A wiesz, że tu mieszka twój ojciec?”. Odpowiedziałam pewnie, że tak. „Józek. Józek Dąbrowski się nazywa” – dodał. „Jak to Dąbrowski?” – zdziwiłam się. „Przecież mój tato nazywa się Jan Maj!”. „Ojej, chyba coś chlapnąłem” – zmartwił się chrzestny i jęknął: „Twoja mama mnie zabije”.

Czyli Jan Maj był pierwszym mężem twojej mamy, a Józef Dąbrowski – twoim ojcem.

Tak. Dowiedziałam się potem, że za Jana Maja wydała ją bardzo wcześnie za mąż babcia, że mama go nie kochała i uciekła od niego tuż przed wojną, mając 19 lat, do Warszawy, gdzie zwinęto ją w łapance i wysłano do obozu.

A co z ojcem? Rozpoczęłaś śledztwo?

Musiłam go odnaleźć. Wymusiłam na chrzestnym, żeby dał mi adres. Razem z koleżanką poszliśmy na spotkanie z moim tatą. Pukamy do drzwi, otwiera brzuchaty facet. Mówimy, że my do Józefa Dąbrowskiego. A brzuchacz patrzy na mnie i krzyczy: „Ty jesteś jego córką! Taką podobną! Krysia, patrz! – woła jakąś kobietę. – Córka Józka!”. Okazało się, że ojciec przeniósł się pod Warszawę.

Dostałam kontakt do jego przyjaciółki, która niechętnie, ale dała mi jego adres, dodając: „Ale, dziecko, po co ty chcesz go poznać? Nie warto. To nie jest dobry człowiek”.

Adres jest. I co dalej?

Siedzę oszołomiona z moją koleżanką u jej babci we Wrocławiu i mówię: „Aniu, muszę natychmiast jechać do ojca. Muszę!”. I wsiadłam w nocny pociąg do Warszawy. Nad ranem dopadły mnie wątpliwości. Wsiadłam w Koluszkach, wróciłam do Łodzi. Mamie nic nie powiedziałam. Do ojca napisałam list. Odpisał, żebym przyjechała.

Mama nie pytała, dokąd jedziesz?

Jeździliśmy wtedy z koleżanką na ciuchy do Warszawy na Pragę, więc była wymówka. Ale w końcu mama zaczęła coś podejrzewać i spytała: „Do kogo ty tam jeździsz?”. A ja niewiele myśląc, wypaliłam: „Do tatusia!”. Mama zbladła. To był dla niej cios. Miała potem do mnie o to długó żal.

Dlaczego?

Po pierwsze, nie znosiła ojca, podobnie jak pierwszego męża. Scalili ich w jedną negatywną postać. A po drugie, ojciec się mną nigdy nie interesował, nie dawał na moje utrzymanie. Mama ciężko pracowała, żeby zapewnić mi byt i mnie wykształcić. Myślę, że z powodu bycia samotną matką zrezygnowała z wymarzonej kariery lekarki. Została pielęgniarką, pracowała w Przychodni Przeciwgruźliczej na Bałutach, z czego – nawiasem mówiąc – byłam bardzo dumna. Poświęciła mi życie, a ja się okazałam taka niewdzięczna. Ale kiedy ten pan z brzuchem we Wrocławiu krzyknął na mój widok: „Taka podobna! Córka Józka!”, to pomyślałam: Boże! Tatusz mnie kocha i o mnie pamięta! Kochał? Pamiętał?

On się zwyczajnie nie nadawał do bycia ojcem, choć ożenił się po rozstaniu z mamą i miał syna. Był mocny, raptowny, dużo pił. Prawdziwy przedwojenny ułan. Nie umiał też poradzić sobie z rozpadem poprzedniego świata. Polska Ludowa – zupełnie mu obca – skazywała go na wegetację. Zostało mi po nim kilka medali z Józefem Piłsudskim i napisem „Polska swemu Obrońcy”.

Jak wyglądało pierwsze spotkanie?

Pojechałam do niego do Kawęczyna pod Warszawą. Było lato 1962 roku. Wchodzę przez bramę, przez którą wjeżdża też nyska. Wsiada z niej przystojny facet w ciemnych okularach, battledressie w pepitkę z naszywkami na łokciach. „Marysia?” „Tatusz?” I żeśmy się pokochali.

Znaleźliście wspólny język?

Nie bardzo, bo różniły nas, jak się szybko okazało, poglądy. Ja mu mówiłam, że socjalizm jest wspaniały, bo mi tyle dał: mogę się uczyć, mamusia pracuje, analfabetyzm i gruźlica prawie zwalczone. A on PRL-u nienawidził. Nasze kontakty były coraz rzadsze, a w 1968 roku zmarł. Miałam 20 lat i znów zostałam bez ojca.

Ale z mamą.

I, prawdę powiedziawszy, przez całe życie spełniałam jej marzenia, bo chciałam, żeby była ze mnie zadowolona. Chciała, żebyś została aktorką?

Nie wiem, ale kochała teatr, głównie balet, operę, operetkę. Kino też kochała. Uwielbiała Danusię Szaflarską i kiedy się dowiedziała, że Jerzy Duszyński nie jest jej mężem, tylko Hanki Bielickiej, nie mogła tego przeżyć. Gdyby wiedziała, że dzisiaj siedzę z Danusią w jednej garderobie, byłaby przeszczęśliwa.

To mama zabrała cię pierwszy raz do teatru?

Najpierw chciała mnie zapisać do Baletu Parnella, ale Feliks Parnell spojrzął na mnie i powiedział: „Wykluczone, jest za chuda”, więc mama, która ponownie wyszła za mąż



1 Katarzyna Talarczyk, córka Marii Maj, podczas sesji dla „Wysokich Obcasów” w październiku 2009 r.

2 Maria Maj (z prawej) z córką Kasją, 1986 r.

3 Maria Maj w łódzkim Teatrze Lalek „Arlekin” na początku lat 70.

4 Spektakl „Między nami dobrze jest” w warszawskim Teatrze Rozmałości. Od lewej: Magdalena Kuta, Danuta Szaflarska i Maria Maj



i chyba chciała mieć więcej czasu dla siebie i męża – zapisała mnie do kółka teatralnego w Młodzieżowym Domu Kultury.

Gdzie wtedy mieszkaliście?

Najpierw na Bałutach, w typowej łódzkiej kamienicy bez łazienki i bieżącej wody. Wygodka w podwórzu i piec opalany węglem. Potem przeniosłyśmy się do Śródmieścia i to był high life. Łódź wówczas, w latach 60., była cudowna, pełna życia, kolorowa. Chodziłam do superliceum, miałam świetnych nauczycieli, wspaniałych kolegów i koleżanki. Miałam też kółko teatralne i zaczęłam intensywnie chociaż (do teatru, kochając się w rozmaitych aktorach).

Jak było w kółku teatralnym?

Na początku niełatwo, bardzo się wstydziałam, ale chodziłam, lbo tak chciała mama. Z czasem zaczęłam się wciągać. Skończyło się tym, że zamiast na paleontologię lub etnografię, jak planowałam, poszłam studiować aktorstwo w łódzkiej Filmówce. Mama cię cieszyła. Dostałam się

za pierwszym razem i natychmiast znalazłam sobie najfajniejszego chłopaka na roku – Romka Talarczyka. Po pierwszym roku wywalono mnie ze studiów. Miałam tylko jedną dwójkę, z tempa i oddechu, i gdybym o to zabiegała, tobym została w tej szkole. Ale nie spotkałam tam wtedy żadnej indywidualności wśród nauczycieli. Szkoła okazała się rozczarowująca.

Co z miłością do teatru?

Kwitła, ale nie za sprawą Filmówki, tylko Henryka Tomaszewskiego. A było tak, że pod koniec liceum pojechaliśmy na wycieczkę do Wrocławia. Rutyna: Rynek, zoo, teatr. Kiedy wieczorem weszliśmy już ledwo żywi do teatru, pomyślałam, że odpocznę i się zdrzemnę. Gaśnie światło, podnosi się kurtyna i... oszalałam! To był „Ogród miłości” Henryka Tomaszewskiego. Boże, jakie wspaniałe!

Henryk Tomaszewski, legendarny tancerz, mím, choreograf, pedagog, reżyser, założyciel Wrocławskiego Teatru Pantomimy, to znakomity kandydat na wielką teatralną miłość.

Ale jak! Kochałam jego i tworzony przez niego teatr. „Ogród miłości” był doznaniem, które mnie zmieniło. Oglądałam potem wszystko, co Tomaszewski zrobił.

Miłość z Romkiem też kwitła?

Pobraliśmy się, urodziła się nasza córka Kasia. To nie był łatwy czas. W 1968 roku Romka wzięto do wojska, z Polski wyrzucano moich kolegów z liceum za to, że byli Żydami (po latach odnalazłam kilku z nich w Izraelu), a ja musiałam znaleźć pracę po relegowaniu z Filmówki. **Znalazłaś ją w łódzkim Teatrze Lalek „Arlekin”.**

Bo mama koleżanki była jego dyrektorką administracyjną. Poszłam tam na zasadzie: o Jezu, lalkarze i te ich lalki, no dobra, trzeba gdzieś pracować. A poznałam utalentowanych ludzi, pasjonatów. Oni tym lalkom naprawdę dawali życie. Byłam tam adeptką, zdałam egzamin eksternistyczny i dostałam dyplom aktorki lalkarki. A potem drugi – aktorki dramatycznej. Mąż wyszedł z wojska, skończył Filmówkę, dostaliśmy pracę w teatrze w Jeleniej Górze. Wyjechalśmy z Łodzi. W Jeleniej Górze było pięknie. Dostaliśmy fajne mieszkanie.

Jadąc tam, miałaś poczucie, że przenosisz się na prowincję?

Nie, ale to się zmieniło, kiedy weszłam do teatru. Tam rzeczywiście pracowali aktorzy prowincjonalni.

Co to znaczy?

Byli to – poza nielicznymi wyjątkami – ludzie niezrealizowani, podejrzliwi, mający za złe nam to, że jesteśmy młodzi. Nie byli partnerscy, grali zawsze w ten sam sposób. Na szczęście szybko się to zmieniło wraz z przybyciem kolejnych reżyserów, bo prowincjonalność to nie kategoria geograficzna, ale mentalna. Choć z perspektywy Warszawy wtedy, w latach 70., byliśmy prowincją, bo aktorzy warszawscy grali nie tylko w teatrze, ale także w kinie, w telewizji. Myśmy dostępu do tego nie mieli.

Pewnego dnia do teatru wszedł sam Henryk Tomaszewski. Jest Jesień 1972 roku. I spełniasz swoje wielkie marzenie. Grasz u Tomaszewskiego w „Legendach”. A potem u Wandy Laskowskiej w „Rachunku nieprawdopodobieństwa” i u Krzysztofa Pankiewicza w „Przy drzwiach zamkniętych” Sartre’a.

A potem zjawił się student reżyserii Krystian Lupa i szybko się zaprzyjaźniliśmy. Było widać, że to niezwykła osobowość. Miał wiedzę większą od naszej. Imponował wszystkim – znajomością muzyki, sztuki, literatury. Nawet kiedy jechaliśmy na wakacje, musieliśmy coś stworzyć. A potem oglądałam jego wszystkie spektakle w Starym Teatrze w Krakowie i zobaczyłam mistrzostwo Krystiana w całej okazałości.

A był czas na życie poza teatrem?

Nie bardzo, siedzieliśmy w nim od rana do nocy.

Aktorskie małżeństwo kwitło?

Aktorskie małżeństwo się rozpadło, bo nie byłam robiącą na drutach żoną przy mężu, nie stałam w jego cieniu.

Zazdrościł?

Nie, historia była inna. W naszym życiu pojawił się artysta, którego oboje uwodziliśmy. I mimo że Romek powinien zwyciężyć, wygrałam ja.

Dlaczego wyjechałaś z Jeleniej Góry?

Zdecydowały sprawy osobiste i zawodowe. Czulałam, że ten rozdział trzeba już zamknąć. Najpierw było Opole, potem Poznań i w końcu Warszawa. W międzyczasie socjalizm został zastąpiony przez kapitalizm.

I nie bardzo umieliśmy się w nim odnaleźć. Człowiek całe życie tułał się po teatrach, mieszkał w domach aktora, żył sztuką i nagle się orientuje, że nie ma mieszkania, nie ma oszczędności, rodziny porozsypywane, czterdziestka przekroczona. W Warszawie przeżyłam wtedy kilka trudnych lat. Zaczęło mi brakować pieniędzy, wspierali mnie przyjaciele z zagranicy. Ale jak długo tak można? W pewnym momencie zaczęłam krzyknąć: „Ludzie! Pomóżcie!”. I pomogli. Olga Stokłosowa spytała mnie, czy nie chciałabym popracować jako asystentka Janusza Stokłosy (to było zaraz po wielkim sukcesie „Metra”). Poszłam więc do pracy do Teatru Studio Buffo jako sekretarka. Ale bycie po drugiej stronie sceny uwierało. W 1995 roku wkroczyłam do Teatru Rozmaitości, w którym jestem do dzisiaj. 18 stycznia 1997 roku na deskach dwóch warszawskich scen swoje premiery dają równocześnie reżyserzy rewolucjonści. W Teatrze Dramatycznym „Elektrę” wystawia Krzysztof Warlikowski, a w Teatrze Rozmaitości Grzegorz Jarzyna robi „Bzika tropikalnego”, w którym grasz Tatianę. Poczulaś, że idzie nowe?

Nie. Jedyne, co czulałam, to wielkie szczęście, bo nie tylko grałam w „Bziku tropikalnym”, ale także asystowałam Grześkowi. To była przyjemność, choć z momentami krytycznymi. Grzegorz konsekwentnie egzekwował swoje pomysły, testując cierpliwość dyrekcji, a ja byłam jak ta kura chroniąca jajko. Daliśmy premierę, odnosząc sukces. Kochaliśmy to grać. I Grześka też żeśmy pokochali. A on rok później, w wieku 30 lat, został dyrektorem artystycznym Rozmaitości.

Zupełnie się tego nie spodziewaliśmy. Pamiętam, że zaprosił cały zespół na spotkanie i powiedział, jaki teatr chce robić. Zaczęła się rewolucja i rok później dołączył do nas Krzysztof Warlikowski.

Kolejny ważny reżyser, z którym pracujesz.

Zaczęliśmy pracę nad „Hamletem” i to było magiczne. Jacek Poniedziałek grał go genialnie, bo grał siebie. Jego Hamlet był gejem poszukującym swojej tożsamości. Kiedy mówił do Ofelii, żeby szła do klasztoru, bo on jej nic nie dał – nie kłamał. Ale to i tak nic w porównaniu z „Bachantkami”, które uważam za najwspanialszy spektakl Warlikowskiego. On przeniósł tego Eurypidesa na scenę, nie uroniwszy ani kropli. I w tym wszystkim my – trzy baby jako chór: Magda Kuta, Staszka Celińska i ja.

Dlaczego nie uczysz w szkole teatralnej?

Nie chciałabym uczyć, sama chcę się uczyć. Uczę się od młodych i nie mam zamiaru przestawać. Danusia Szaflarska, która ma 99 lat, też to robi. To metoda na to, by ciągle być żywym. Trzeba iść za młodymi i – chaps! – wbijać ząbki w młode ciała. Metaforycznie. Najłatwiej jest mówić, że to nowe to nie teatr. My jesteśmy wspaniali w naszej twierdzy. A ja lubię grać u wszystkich. I u Lupy, i u Jarzyny, i u Cywińskiej, i u Glińskiej. Podziwiam Jacka Poniedziałka za to, że przestał grać tylko w spektaklach Warlikowskiego, że pozwala sobie na skoki w bok i gra na przykład w „Weekendzie z R.” w Och-teatrze. Świetnie się na tym bawiłam. Można robić dobrze różny teatr. Wiesz, jak ja się ucieszyłam, kiedy Iza Cywińska zaproponowała mi w zeszłym roku granie w „Babie Chanel” w Teatrze Polonia?

Uczę się od młodych i nie mam zamiaru przestawać. Danusia Szaflarska, która ma 99 lat, też to robi. To metoda na to, żeby ciągle być żywym

Nie miałaś ambicji zostania wielką gwiazdą?

A co to znaczy? Dla mnie teatr to było przede wszystkim spotkanie z fascynującymi ludźmi. Obchodzili mnie ludzie, nie sława.

Żalowałaś kiedyś, że zostałaś aktorką?

Kiedy moje życie osobiste wyglądało nieciekawie. Moja córka Kasia notorycznie oskarżała teatr o rodzinne niepowodzenia, wypychała mnie w poczucie winy. Nigdy mi nie wybaczyła tej artystycznej tułaczki. W Jeleniej Górze ja byłam królową i ona była królową. W domu aktora toczyło się kolorowe życie. Nagle, decyzją o wyprawadźce do Opoli, wyrwałam ją z tego otoczenia. Potem przenieśliśmy się do Poznania, następnie do Warszawy – i wtedy Kasia protestowała najgłośniejsze. **A miała do ciebie pretensje, że wychowuje się bez ojca?**

Nie. Zabiegałam o to, by Kasia miała z ojcem jak najlepsze relacje. Zamieszkała z nim nawet na jakiś czas w Gdyni, ale szybko wróciła do mojego szalonego świata. Miałam poczucie winy, że kiedy inne matki czytały dzieciom bajki do snu, ja szłam do teatru. Nie ma co ukrywać – życie teatralne kolidowało nieraz z naszym życiem rodzinnym. **Jacek Sieradzki napisał o tobie w jednym ze swoich „Subiektywnych spisów aktorów”: „Jest w ansambli Rozmaitości etatową matką kumpelą”.**

Może dlatego, że jestem bez skóry, nie buduję dystansu, lubię ludzi. Jest we mnie macierzyńska energia.

W grudniu 2009 roku ukazał się w „Wysokich Obcasach” wywiad z twoją córką Katarzyną Talarczyk, któremu towarzyszyła modowa sesja zdjęciowa. Kasia była już wtedy chora, właściwie umierała na raka, który zabił ją pół roku później. W rozmowie z Katarzyną Bosacką – pełnej humoru i pozytywnej energii – Kasia mówi, że kiedy zachorowała, bardzo się poprawiły wasze relacje.

To prawda. Zaczęłyśmy się świetnie rozumieć, przechodząc wspólnie przez jej chorobę, nieustanną walkę o życie.

Długo to trwało?

Dwa lata.

Piekło?

Też, ale było wokół nas dużo miłości. Wspierałam Kasię, jak mogłam, a mnie wspierał teatr. Próby do „Metafizyki dwugłowego cielęcia” Michała Borczucha ratowały mi życie. Dużo zawdzięczam Adasiowi Woronowiczowi, który jako człowiek mocno wierzący, potrafił ze mną normalnie rozmawiać. Patrząc, jak cierpi i umiera twoje dziecko, to jest coś niewyobrażalnego. Świat się wali.

Krystyna Janda opowiadała, że kiedy zmarł jej mąż Edward Kłosiński, to tego samego dnia wieczorem musiała stanąć na scenie i zagrać spektakl.

Jestem jej wdzięczna za monolog, który wygłasza w „Tataraku” Andrzeja Wajdy. Krystyna Janda mówiła o swojej tragedii w sposób tak ludzki, naturalny, to mi pomogło.

„Umarł tak, żebym zdążyła na spektakl” – mówi w tym monologu.

Bo ważny jest jak najszybszy powrót do normalności, do przyjaciół, do pracy. Kiedy wróciłam ze spopieliarni, przez chwilę byłam sama. Żeby nie zwariować, zaczęłam kroić mięso na stypę. Wtedy wpadł do mnie Eryk Lubos i mnie po prostu przytulił. Nic więcej, tylko mocno przytulił. Za to jestem mu wdzięczna, bo takie gesty pomagają pójść dalej. Przeszliśmy jakoś przez to razem – ja i moje wnuczki Julia i Daria. Dzisiaj jest też z nami Franio, mój prawnuk.

A partner jest?

Mam kotkę Wandzię, bo nie chcę już inwestować uczuciowo w żadnego kocura. ■